

CARLOS  
**CASTANEDA**

**Aktywna strona  
nieskończoności**



CARLOS  
**CASTANEDA**

**Aktywna strona  
nieskończoności**

Przekład: Sebastian Musielak

vis-à-vis  
**etiuda**

Kraków 2022

Tytuł oryginału: *The Active Side of Infinity*

THE ACTIVE SIDE OF INFINITY Copyright © 1998 Laugan Productions

*Książkę tę dedykuję dwóm ludziom, którzy dali mi siłę i zaopatrzyli w metody niezbędne w terenowych badaniach antropologicznych: profesorowi Clementowi Meighanowi i profesorowi Haroldowi Garfinkelowi. Idąc za ich sugestiami, bez reszty oddałem się pewnemu projektowi badawczemu, który pochłonął mnie na zawsze. Jeżeli nie udało mi się urzeczywistnić ducha uprawianej przez nich nauki, trudno. Nie mogłem na to nic poradzić. Zanim zdążyłem sformułować spójne, naukowe hipotezy, zagarnęła mnie siła jeszcze większa, którą szamani nazywają nieskończonością.*



## JĘZYK

Człowiek wnikliwie wpatrywał się w swoje równania i rzekł, że wszechświat miał swój początek.

– To była eksplozja – rzekł.

Wybuch nad wybuchami – i tak oto narodził się wszechświat.

– I ciągle się rozszerza – rzekł.

Obliczył nawet długość jego żywota: dziesięć miliardów obrotów Ziemi dokoła Słońca.

Na całym globie zagrzmiały wiwaty; wszyscy dostrzegli w obliczeniach naukę.

Nikt nie pomyślał, że postulując początek wszechświata, człowiek odwzorował jedynie składnię swojego języka; zwykłą składnię, której dla stwierdzania faktów potrzeba początków – jak narodziny, rozwinięcie – jak dorastanie, i zakończeń – jak śmierć.

Wszechświat miał swój początek i wszechświat się starzeje, zapewnił nas, i wszechświat umrze, tak jak wszystko, i jak on sam umarł, gdy już znalazł matematyczny obraz składni swojego języka.





## INNY JĘZYK

Czy wszechświat naprawdę miał początek? Czy teoria Wielkiego Wybuchu jest prawdziwa? To nie są pytania, chociaż brzmią podobnie. Czy język, w którym stwierdzanie faktów wymaga początków, rozwinięć i zakończeń, jest jedynym istniejącym językiem?

Oto prawdziwe pytanie. Istnieją inne języki. Istnieje na przykład taki, który postuluje, by faktami były różne stopnie natężenia. W tym języku nic się nie rozpoczyna i nic nie kończy; i tak narodziny nie są wyraźnym, osobnym wydarzeniem, lecz jedynie szczególnym rodzajem natężenia; i tak też jest z dorastaniem i tak jest ze śmiercią. W tym języku człowiek wodzi wzrokiem po swoich równaniach i odkrywa, że wyliczył już tyle stopni natężenia, by z przekonaniem stwierdzić, iż wszechświat nigdy nie miał początku i nigdy nie będzie miał końca, przechodził za to, i przechodzi nadal, i będzie przechodził przez niekończące się fale natężenia. Człowiek taki nie zawahałby się orzec, że cały wszechświat jest jednym wielkim rydwanem natężenia, w który można wsiąść i ruszyć w podróż pośród zmian bez końca.

Oprócz tego wysnułby wiele innych wniosków, a być może nawet by mu przez myśl nie przemknęło, że obrazuje jedynie składnię swojego języka.



## WSTĘP

Książka ta jest zbiorem pamiętnych wydarzeń mojego życia. Zebrałem je, idąc za radą don Juana Matusa, szamana z indiańskiego plemienia Yaqui z Meksyku, który był moim nauczycielem i przez trzynaście lat nie szczędził wysiłków, by otworzyć przede mną kognitywny świat szamanów żyjących w starożytności w Meksyku. Don Juan zaproponował mi, bym sporządził sobie taki zbiór pamiętnych wydarzeń, zupełnie mimochodem, wiedziony jakby spontanicznym odruchem. Taki był styl nauczania don Juana. Maskował wagę pewnych posunięć, nadając im pozór banału. W ten sposób skrywał szpilę ich nieodwołalności, przedstawiając je tak, że w ogóle nie różniły się od innych przyziemnych spraw.

Z biegiem czasu don Juan wyjawiał mi, że ów proces gromadzenia pamiętnych wydarzeń życia był dla szamanów starożytnego Meksyku, którzy go opracowali, uznawaną metodą pobudzania ukrytych w każdym człowieku pokładów energii. W ich rozumieniu na pokłady te składa się pochodząca z ciała fizycznego energia, która uległa dyslokacji – została wypchnięta z naszego zasięgu poprzez okoliczności powszedniego życia. Tak więc dla don Juana i szamanów z jego linii ów zbiór pamiętnych wydarzeń życia był sposobem rozprowadzania niewykorzystywanej energii.

Niezbędnym warunkiem przystąpienia do tworzenia zbioru była absolutna szczerość i pogrążenie się bez reszty w proces łączenia w jedną całość wszystkich przeżytych emocji i objawień, bez pomijania czegokolwiek. Według don Juana szamani jego linii byli przekonani, że zbieranie pamiętnych wydarzeń życia jest sposobem osiągnięcia emocjonalnego i energetycznego dostrojenia, niezbędnego do podjęcia ryzykownej podróży w nieznaną sferę postrzegania.

Według słów don Juana nadrzędnym celem stosowania dostępnej mu wiedzy szamańskiej było przygotowanie do wyruszenia w ostateczną podróż: podróż, którą każdy człowiek musi podjąć pod koniec swojego życia. Powiedział, że dzięki dyscyplinie i stanowczości szamani są w stanie zachować po śmierci indywidualną świadomość i wolę. Ów nieokreślony, idealistyczny stan, określany przez współczesnego człowieka mianem „życia po śmierci”, dla nich jest konkretną areną praktycznego działania, odmiennego w swej naturze od praktycznego działania w naszym codziennym życiu, lecz cechującego się podobną funkcjonalnością. Don Juan przypuszczał, że zbieranie pamiętnych wydarzeń swego życia było dla szamanów przygotowaniem do chwili, gdy wkroczą na ową konkretną arenę, którą oni sami nazywali aktywną stroną nieskończoności.

Don Juan i ja rozmawialiśmy któregoś dnia pod jego ramadą; była to lekka konstrukcja sklecona z cienkich bambusowych palików, rodzaj werandy, częściowo zacienionej, lecz zupełnie niechroniącej przed deszczem. Stało w niej kilka małych, mocnych skrzynek, których używano jako ławeczek. Napisy na skrzynkach wyblakły i bardziej służyły ozdobie niż identyfikacji. Siedziałem na jednej z nich. Plecami byłem zwrócony w kierunku frontowej ściany domu. Don Juan siedział na innej skrzynce, oparty o drąg wspierający całą ramadę. Zajechałem samochodem pod jego dom dopiero kilka minut wcześniej. Podróżowałem przez cały dzień w gorącym, parnym powietrzu. Byłem podenerwowany, spocony i wierciłem się niespokojnie.

Zaledwie wygodnie rozsiadłem się na skrzynce, don Juan zaczął mówić. Uśmiechając się szeroko, zauważył, że ludzie grubi w zasadzie nie wiedzą, jak walczyć ze swoją otyłością. Z uśmiechu, który igrał na jego twarzy, domyśliłem się, że nie stroi sobie żartów. Niezwykle bezpośrednio, a zarazem bardzo oględnie, zwrócił moją uwagę na to, że mam nadwagę.

Tak mnie to zdenerwowało, że wychyliłem się za daleko w tył na mojej skrzynce i z wielką siłą wyrznąłem plecami o cienką ścianę. Uderzenie zatrzęsło całym domem aż po fundamenty. Don Juan spojrział na mnie badawczo, ale zamiast spytać, czy nic mi

się nie stało, zapewnił, że ściany nie popękały. Następnie długo mi wyjaśniał, że dom służy mu tylko za tymczasowe schronienie i tak naprawdę mieszka gdzie indziej. Kiedy zapytałem go, gdzie to w takim razie jest, utkwiał we mnie wzrok. Jego spojrzenie nie było groźne; było bardziej skutecznym paralizatorem niewłaściwych pytań. Nie pojąłem, czego ode mnie oczekuje. Już miałem powtórzyć pytanie, ale mnie powstrzymał.

– Tutaj się nie zadaje podobnych pytań – powiedział stanowczo. – Możesz pytać do woli o procedury i pojęcia. Kiedy będę gotów ci powiedzieć, gdzie mieszkam – jeśli w ogóle będę – powiem ci sam i nie będziesz musiał mnie pytać.

Natychmiast poczułem się odrzucony. Moja twarz oblała się rumieńcem. Czułem się dotknięty do żywego. Wybuch śmiechu don Juana tylko podsycał moje upokorzenie. Nie dość że mnie odrzucił, to jeszcze mnie poniżył i wyśmiał.

– Mieszkam tutaj tymczasowo – ciągnął, nie zważając na mój paskudny humor – ponieważ jest to magiczne miejsce. Prawdę powiedziawszy, mieszkam tutaj z twojego powodu.

Jego oświadczenie powaliło mnie na łopatki. Nie mogłem w to uwierzyć. Pomyślałem, że pewnie tak mówi, żeby złagodzić moje rozdrażnienie faktem, iż mnie obraził.

– Naprawdę mieszkasz tutaj z mojego powodu? – zapytałem, niezdolny pohamować ciekawości.

– Tak – odparł beznamiętnie. – Muszę cię odpowiednio przygotować. Jesteś taki jak ja. Powtórzę ci teraz coś, co już ci wcześniej mówiłem: wyzwaniem dla każdego naguala, czyli przywódcy, każdego pokolenia czarowników jest odzyskanie nowego mężczyzny czy nowej kobiety, która podobnie jak on wykazuje podwójną strukturę energetyczną; zobaczyłem tę cechę w tobie, kiedy byliśmy na dworcu autobusowym w Nogales. Gdy widzę twoją energię, widzę dwie nałożone na siebie świetliste kule, jedną na drugiej, i ta cecha wiąże nas ze sobą. Ani ja nie mogę zrezygnować z ciebie, ani ty nie możesz zrezygnować ze mnie.

Jego słowa wywołały we mnie niezwykle dziwne roztrzęsienie. Jeszcze chwilę przedtem byłem zły, teraz zbierało mi się na płacz.

Don Juan mówił dalej. Powiedział, że chce mnie zapoznać z czymś, co szamani nazywają drogą wojownika, wykorzystując do tego siłę okolicy, w której mieszka, gdyż jest ona miejscem bardzo silnych emocji i gwałtownych reakcji. Od tysiącleci zamieszkuje ją bardzo wojowniczy lud, który nasączył tę ziemię swoim zamięłowaniem do wojny.

W owym czasie don Juan mieszkał w stanie Sonora w północnym Meksyku, około stu sześćdziesięciu kilometrów na południe od miasta Guaymas. Tam zawsze jeździłem go odwiedzać, pod pozorem prowadzenia badań w terenie.

– Don Juanie, czy będę musiał toczyć jakąś wojnę? – spytałem poważnie zaniepokojony jego oświadczeniem, że zamięłowanie do wojny będzie mi pewnego dnia potrzebne. Nauczyłem się już traktować jego słowa z absolutną powagą.

– Nie ulega wątpliwości – odrzekł z uśmiechem. – Kiedy już wchłoniesz wszystko, co można w tej okolicy wchłonać, ja wyjadę.

Nie miałem żadnych podstaw, by powątpiewać w to, co mówi, ale nie potrafiłem sobie wyobrazić jego życia gdzie indziej. Był bez reszty częścią wszystkiego, co go otaczało. Jednakże jego dom faktycznie sprawiał wrażenie tymczasowego schronienia. Była to typowa lepianka farmerów z plemienia Yaqui; miała splecione ściany obrzucone gliną, przykryte płaską strzechą. Wnętrze stanowiło jedno duże pomieszczenie służące do jedzenia i spania oraz niezadaszona kuchnia.

– Bardzo ciężko o dobry kontakt z grubymi ludźmi – powiedział.

Jego stwierdzenie wydawało się nie na temat, ale faktycznie było inaczej. Don Juan po prostu wrócił do kwestii, którą poruszył, zanim mu przerwałem, uderzając plecami w ścianę.

– Minutę temu walnąłeś w mój dom jak meteor – powiedział, kręcąc powoli głową. – Ależ to było uderzenie! Uderzenie godne solidnego mężczyzny.

Miałem nieprzyjemne uczucie, że rozmawia ze mną tak, jakby spisał mnie na straty. Natychmiast przyjąłem postawę obronną. Z drwiącym uśmieszkiem na ustach słuchał moich po-

spiesznych zapewnień, że moja waga jest normalna, zważywszy na grubość kośćca.

– To prawda – żartobliwym tonem przyznał mi rację. – Masz grube kości. Zapewne swobodnie mógłbyś ważyć piętnaście kilo więcej i nikt, dając słowo, nikt by nic nie zauważył. Ja na pewno bym nie zauważył.

Z jego ironicznego uśmiechu wyczytałem, że faktycznie muszę wydawać mu się bardzo tęgi. Następnie spytał mnie o ogólny stan zdrowia, a ja się rozgadałem, usilnie starając się uniknąć wszelkich dalszych komentarzy na temat mojej wagi. Don Juan sam zmienił temat.

– Jak tam twoje dziwactwa i wariactwa? – spytał z kamiennym wyrazem twarzy.

Idiotycznie odrzekłem mu, że w porządku. „Dziwactwami i wariactwami” don Juan ochrzcił moje zainteresowania kolekcjonerskie. W owym czasie bowiem ze wzmożonym zapałem powróciłem do mojego starego hobby, które trwało przez całe życie: do kolekcjonowania wszystkiego, co tylko dało się kolekcjonować. Zbierałem czasopisma, znaczki, płyty, militaria z czasów drugiej wojny światowej – sztylety, hełmy, flagi i tym podobne przedmioty.

– Jedyne, don Juanie, co mogę ci powiedzieć o moich wariactwach, to to, że staram się sprzedać moje zbiory – powiedziałem, przybierając maskę męczennika, którego zmuszają do popełnienia ohydztwa.

– Kolekcjonowanie to nie jest wcale taki zły pomysł – wyrzekł takim tonem, jakby naprawdę był o tym przekonany. – Sedno sprawy nie tkwi w samym zbieraniu, ale w tym, co się zbiera. Ty zbierasz śmieci, przedmioty bez wartości, które uwiązują cię przy sobie równie skutecznie jak domowy pies. Nie możesz tak po prostu sobie wyjechać, kiedy ci się podoba, jeśli masz psa, którym musisz się zajmować, albo gdy nie możesz przestać myśleć, co by się stało z twoimi zbiorami, gdybyś musiał je zostawić.

– Naprawdę szukam kupców, don Juanie, uwierz mi – starałem się go przekonać.

– Nie, nie, nie, w porządku; niech ci się nie wydaje, że cię o cokolwiek posądzam – odpowiedział pospiesznie. – Prawdę rzekłszy, podoba mi się ta twoja żyłka kolekcjonerska. Nie podobają mi się tylko twoje zbiory, to wszystko. Chciałbym się jednak odwołać do twej natury zbieracza. Chciałbym zaproponować ci zgromadzenie kolekcji, której warto poświęcić nieco zachodu.

Don Juan zrobił długą pauzę. Sprawiał wrażenie, jakby zastanawiał się nad doborem słów; a może był to po prostu teatralny, dobrze przemyślany moment zawahania. Obrzucił mnie głębokim, świdrującym spojrzeniem.

– Każdy wojownik w ramach swych obowiązków tworzy specjalny album – ciągnął. – Album ten daje świadectwo okolicznościom jego życia.

– Dlaczego nazywasz coś takiego kolekcją, don Juanie? – spytałem zaczepnie. – Albo – lepiej jeszcze – albumem?

– Ponieważ jest tym i tym – odparował. – Nade wszystko jednak jest to poniekąd album z obrazami, które powstały ze wspomnień; obrazami, które powstały z sięgania pamięcią do pamiętnych wydarzeń życia.

– Czy owe pamiętne wydarzenia życia są pamiętne w jakimś szczególnym sensie? – zapytałem.

– Są pamiętne, ponieważ mają szczególne znaczenie w życiu człowieka – odrzekł. – Chciałbym ci zaproponować, żebyś stworzył taki album, zawierając w nim wyczerpujące relacje z różnych zdarzeń, które miały dla ciebie głębokie znaczenie.

– Don Juanie, każde zdarzenie w moim życiu miało dla mnie głębokie znaczenie! – odparłem z emfazą, rażony natychmiast siłą własnego patosu.

– Niezupełnie – odrzekł z uśmiechem, najwyraźniej niezwykle ubawiony moimi reakcjami. – Nie każde zdarzenie w twoim życiu miało dla ciebie głębokie znaczenie. Było jednak kilka takich, które w moim odczuciu prawdopodobnie coś w twoim życiu odmieniły, które oświeciły twą drogę. Zazwyczaj wydarzenia, które zmieniają bieg naszej drogi, nie dotyczą nas osobiście; a jednak – pomimo to – dotykają nas w niezwykle osobisty sposób.



– Nie próbuję utrudniać ci zadania, don Juanie, ale uwierz mi, że wszystko, co mi się przydarzyło, spełnia te kryteria – powiedziałem świadomy tego, że kłamię.

Zaledwie wypowiedziałem te słowa, chciałem go przeprosić, ale don Juan nie zwrócił na mnie uwagi. Zupełnie, jakbym się w ogóle nie odezwał.

– Niech ci się nie wydaje, że ten album to zbiór banałów albo trywialnych historyjek o tym, co ci się przydarzyło w życiu – rzekł.

Wzięłem głęboki oddech, zamknąłem oczy i starałem się uciszyć umysł. W myślach gorączkowo wałkowałem problem, którego nie potrafiłem rozwiązać: nie miałem najmniejszej wątpliwości co do tego, że nie znoszę wizyt u don Juana. W jego obecności czułem się zagrożony. Napastował mnie słownie i nie dawał mi żadnych okazji, by mu pokazać, co jestem wart. Nie mogłem znieść tego, że tracę twarz za każdym razem, kiedy otwieram usta; nie mogłem znieść tego, że to ja wychodzę zawsze na durnia.

Ale przemawiał do mnie wewnątrz również inny głos, głos, który dobiegał gdzieś z głębi, z dala, niemal niedosłyszalny. Poprzez rozgwar znajomego dialogu dochodziły do mnie moje własne słowa, że jest już za późno i nie mogę się wycofać. Ale tak naprawdę to, co pobrzmiwało w mojej głowie, nie było moim głosem ani moimi myślami; był to raczej jakiś obcy głos, który mówił, że już zbyt daleko zabrnąłem w świat don Juana i że potrzebuję go bardziej niż powietrza.

– Mów, co ci się żywnie podoba – zdawał się przemawiać do mnie ów obcy głos – ale gdybyś nie był takim egocentrykiem, nie czułbyś się teraz tak upokorzony.

– To głos twojego drugiego umysłu – rzekł don Juan, zupełnie jakby słyszał moje myśli albo czytał z nich jak z książki.

Moim ciałem szarpnęło mimowolne drgnięcie. Mój strach urósł do takich rozmiarów, że oczy zaszczyły mi łzami. Zwierzyłem się don Juanowi, w czym tkwi sedno mojego roztrzęsienia.

– Twój konflikt jest najzupełniej naturalny – odrzekł. – I możesz mi wierzyć, że ja go wcale tak bardzo nie podsycam. Nie

jestem z tych. Ale musiałbyś posłuchać, co wyrabiał ze mną mój nauczyciel, nagual Julian. Nie cierpiałem go całym sercem i duszą. Byłem bardzo młody i widziałem, jakim uwielbieniem darzyły go kobiety, jak oddawały mu się tak po prostu, a kiedy ja próbowałem się do nich odzywać, rzucały się na mnie jak lwice, gotowe odgryźć mi głowę. Mnie nienawidziły z całego serca, jego zaś kochały. Jak myślisz, jak się wtedy czułem?

– I jak rozwiązałeś ten konflikt, don Juanie? – spytałem z niekłamaną ciekawością.

– Niczego nie rozwiązałem – obwieścił. – Moja sytuacja – konflikt czy jak to sobie nazwiesz – była wynikiem starcia moich dwóch umysłów. Każdy z nas, każdy człowiek, ma dwa umysły. Jeden całkowicie należy do nas i przypomina cichutki głos, który zawsze przynosi ze sobą ład, szczerłość, ukierunkowanie. Drugi umysł to obca instalacja. Przynosi ze sobą konflikt, zadufanie w sobie, wątpliwości, beznadzieję.

Byłem tak zaabsorbowany gonitwą moich myśli, że w ogóle nie dotarło do mnie nic z tego, co powiedział don Juan. Dokładnie zapamiętałem każde jego słowa, ale nic one dla mnie nie znaczyły. Don Juan spojrzał mi prosto w oczy i bardzo spokojnie powtórzył swoją wypowiedź. Nadal nie potrafiłem pojąć, co ma na myśli. Nie potrafiłem się skupić na jego słowach.

– Z niezrozumiałego powodu nie potrafię się skoncentrować na tym, co do mnie mówisz, don Juanie – powiedziałem.

– Doskonale wiem dlaczego – odrzekł, uśmiechając się od ucha do ucha – i pewnego dnia ty również się dowiesz. Tego samego dnia rozwikłasz swój dylemat, czy mnie lubisz, czy nie, i wtedy też przestaniesz uważać się za centrum wszechświata i powtarzać ciągle „ja, ja, ja”. Tymczasem jednak – ciągnął dalej – odłóżmy temat dwóch umysłów na bok i powróćmy do kwestii przygotowania twojego albumu pamiętnych wydarzeń życia. Powiniennem tu dodać, że jest to ćwiczenie z dyscypliny i bezstronności. Traktuj przygotowywanie swojego albumu jak prowadzenie wojny.

Niezachwiana pewność don Juana, że mój wewnętrzny konflikt – fakt, iż równocześnie lubię i nie lubię go odwiedzać – zostanie

rozwiązany, gdy tylko się wyzbędę egocentryzmu, nic mi nie dała. Prawdę powiedziawszy, jego słowa jeszcze bardziej mnie rozżłościły, co z kolei pogłębiło tylko moje rozgoryczenie. A kiedy usłyszałem, jak przyrównuje przygotowywanie albumu do prowadzenia wojny, wybuchnąłem i wylałem wreszcie całą moją żołąć.

– Już samo stwierdzenie, że jest to zbiór wydarzeń, jest trudne do zrozumienia – powiedziałem w tonie sprzeciwu. – Ale jakby tego było mało, ty nazywasz to jeszcze „albumem” i mówisz mi, że przygotowywanie tego albumu jest prowadzeniem wojny – to już dla mnie za dużo. Zbyt pogmatwane. Pogmatwana metafora traci sens.

– A to dziwne! Ze mną jest na odwrót – odparł spokojnie don Juan. – Tylko wtedy, gdy traktuję przygotowywanie takiego albumu jak prowadzenie wojny, ma to dla mnie sens. Nie wyobrażam sobie, by mój album pamiętnych wydarzeń życia mógł być czymś innym niż prowadzenie wojny.

Chciałem dalej się z nim kłócić i wyjaśnić mu, że tak naprawdę rozumiem, co oznacza album pamiętnych wydarzeń życia. Miałem obiekcje co do sposobu opisu, który zupełnie mącił mi w głowie. W owym czasie uważałem siebie za rzecznika klarowności i funkcjonalności w posługiwaniu się językiem.

Don Juan nie komentował moich agresywnych reakcji. Kiwał jedynie głową, jakby całkowicie się ze mną zgadzał. Po krótkiej chwili albo zupełnie straciłem energię, albo poczułem jej potężny przyływ. Nieoczekiwanie, bez żadnego wysiłku z mojej strony, uzmysłowiłem sobie bezsens moich wybuchów. Poczułem bezgraniczne zażenowanie.

– Co we mnie wstąpiło? – spytałem zupełnie poważnie don Juana. W tym momencie czułem się kompletnie zbity z tropu. Byłem tak wstrząśnięty tym, co sobie uświadomiłem, że zupełnie mimowolnie zacząłem szlochać.

– Nie przejmuj się głupimi drobiazgami – powiedział don Juan uspokajającym tonem. – Wszyscy, kobiety i mężczyźni, jesteśmy tacy sami.

– Chcesz mi powiedzieć, don Juanie, że jesteśmy z natury małostkowi i wewnętrznie rozdarci?

– Nie, nie jesteśmy z natury małostkowi i wewnętrznie rozdarci – odrzekł. – Wynika to raczej z pewnego transcendentalnego konfliktu, którym zostaliśmy wszyscy dotknięci, choć jedynie udziałem czarowników jest cierpienie i beznadziejność płynąca z jego uświadomienia; chodzi o konflikt naszych dwóch umysłów.

Don Juan przyglądał mi się z uwagą, jego oczy przypominały dwa czarne węgielki.

– Bez przerwy mi o tym mówisz – odezwałem się – ale do mojego mózgu to nie dociera. Dlaczego tak jest?

– Dowiesz się dlaczego, w swoim czasie – odrzekł. – Tymczasem zaś wystarczy, jak ci powtórzę to, co wcześniej powiedziałem o naszych dwóch umysłach. Jeden z nich jest naszym prawdziwym umysłem, wytworem naszych doświadczeń życiowych, i rzadko do nas przemawia, gdyż został pokonany i zdegradowany do poziomu niejasnego podszeptu. Drugi, ten, którego używamy na co dzień we wszystkim, co robimy, to obca instalacja.

– Sęk chyba w tym, że koncepcja umysłu jako jakiejś obcej instalacji jest tak dziwaczna, że nie potrafię traktować jej poważnie – powiedziałem z odczuciem, że dokonałem prawdziwego odkrycia.

Don Juan nie skomentował mojej wypowiedzi. Dalej tłumaczył zagadnienie dwóch umysłów, jakbym w ogóle się nie odezwał.

– Rozwiązanie konfliktu dwóch umysłów jest kwestią jego zamierzenia – rzekł. – Szamani przywołują intencję, siłę istniejącą we wszechświecie, wymawiając słowo „intencja” głośno i wyraźnie. Kiedy ją przyzywają, przychodzi do nich i wyznacza im ścieżkę prowadzącą do realizacji celu; znaczy to tyle, że czarownicy zawsze osiągają to, do czego zmierzają.

– Chcesz przez to powiedzieć, don Juanie, że czarownicy zdobywają wszystko, czego chcą, nawet jeśli kieruje nimi małostkowość i kaprys? – spytałem.

– Nie, nie to chciałem powiedzieć – odparł. – Można oczywiście zaważać intencję z każdego powodu, ale metodą mozo-

nych prób i błędów czarownicy ustalili, że pojawia się ona jedynie wówczas, gdy powód jest abstrakcyjny. To taki wentyl bezpieczeństwa czarowników; gdyby go nie było, czarownicy byliby nie do zniesienia. Jeśli chodzi o ciebie, przywołanie intencji w celu rozwiązania konfliktu twoich dwóch umysłów albo po to, by dosłyszeć głos prawdziwego umysłu, nie jest małostkowością ani kaprysem. Wręcz przeciwnie: jest to sprawa eteryczna i abstrakcyjna, a jednak ma ona dla ciebie niezwykle żywotne znaczenie.

Don Juan zrobił krótką przerwę, po czym znowu zaczął mówić o albumie.

– Przygotowywanie albumu, które było dla mnie równoznaczne z prowadzeniem wojny, zmusiło mnie do przeprowadzenia nadzwyczaj starannego doboru – rzekł. – Teraz mój album stanowi precyzyjnie opracowaną kolekcję niezapomnianych momentów z mojego życia i tego wszystkiego, co do nich wiodło. Zamieściłem w nim to, co miało, ma i będzie mieć dla mnie olbrzymie znaczenie. Jestem zdania, że album wojownika jest czymś nadzwyczaj konkretnym, czymś tak głęboko wnikającym w istotę rzeczy, że musi budzić grozę.

Choć nie miałem bladego pojęcia, czego chce ode mnie don Juan, jednak w rzeczywistości doskonale go rozumiałem. Poradził mi, bym usiadł w samotności i nie blokował swobodnego przepływu myśli i wspomnień. Zalecił, bym się postarał i pozwolił mojemu głosowi wewnętrznemu przemówić i podpowiedzieć mi, które wspomnienia mam wybrać. Następnie nakazał mi iść do domu i położyć się na posłaniu, które sobie przygotowałem. Składały się nań drewniane skrzynki i kilkadziesiąt pustych worków jutowych, służących za materac. Byłem cały obolały i kiedy położyłem się na tym legowisku, stwierdziłem, że w istocie jest nadzwyczaj wygodne.

Wziąłem sobie sugestie don Juana głęboko do serca i zacząłem myśleć o swojej przeszłości, starając się przypomnieć sobie wydarzenia, które odcisnęły na mnie swoje piętno. Szybko zdałem sobie sprawę z tego, że moje przekonanie, że każde zdarzenie w moim życiu miało dla mnie głębokie znaczenie, było absurdal-

ne. Gdy usiłowałem coś sobie przypomnieć, stwierdziłem, że nie wiem nawet, od czego należałoby zacząć. Przez mój umysł rwał niekończący się strumień myśli i wspomnień, ale nie potrafiłem określić, czy wydarzenia te miały dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Odniosłem wrażenie, że absolutnie nic się dla mnie w życiu nie liczyło. Zupełnie jakbym przeszedł przez nie niczym automat zdolny mówić i chodzić, lecz niezdolny do odczuwania czegokolwiek. Nie będąc w stanie się bardziej skoncentrować i wykonać zadania, zrezygnowałem i zapadłem w sen.

– No i co, złapałeś coś? – spytał mnie don Juan, gdy się przebudziłem z tego długiego snu.

Zamiast czuć się rozluźniony i wypoczęty, znów miałem kiepski humor i wojowniczy nastrój.

– Nie, nie złapałem! – warknąłem.

– Słyszałeś głos dochodzący głęboko z twego wnętrza? – indagował dalej.

– Chyba tak – skłamałem.

– Co ci powiedział? – zainteresował się don Juan z nutą napięcia w głosie.

– Nie potrafię o tym myśleć, don Juanie – wymamrotałem.

– Aha, znowu tkwisz w swoim codziennym umyśle – powiedział i poklepał mnie mocno po plecach. – Twój codzienny umysł znów tobą zawładnął. Rozluźnijmy go i pomówmy o twojej kolekcji pamiętnych wydarzeń życia. Muszę ci powiedzieć, że decyzja o tym, co umieścić w swoim albumie, nie jest sprawą łatwą. Z tego powodu mówię, że przygotowywanie go jest jak prowadzenie wojny. Trzeba się przeistoczyć dziesięć razy, zanim się wie, co wybrać.

W tamtym momencie wyraźnie, choć tylko przez bardzo krótką chwilę, zrozumiałem, że mam dwa umysły; myśl ta była jednakże tak ulotna, że natychmiast mi umknęła. Pozostało po niej jedynie wrażenie, że nie podołałem poleceniu don Juana. Zamiast jednak spokojnie pogodzić się z własną niemocą, dopuściłem do tego, że przybrała ona pozory zagrożenia. W owym okresie mojego życia głównym motorem moich działań było dążenie do tego, by postrzegano mnie zawsze w dobrym świetle. Niemożność

zrobienia czegoś równała się w moim odczuciu przyznaniu się do porażki, a to było absolutnie nie do przyjęcia. Ponieważ nie wiedziałem, jak odpowiedzieć na wyzwanie, które rzucił mi don Juan, zrobiłem jedną jedyną rzecz, którą umiałem robić dobrze: rozzłościłem się.

– Muszę się nad tym głębiej zastanowić, don Juanie – powiedziałem. – Muszę dać mojemu umysłowi trochę czasu na oswojenie się z tą koncepcją.

– Oczywiście, oczywiście – zgodził się ze mną. – Daj sobie tyle czasu, ile to konieczne, ale pospiesz się.

Tego dnia już więcej o tym nie rozmawialiśmy. W domu całkowicie zapomniałem o całej sprawie, aż pewnego razu, kiedy to nagle, w samym środku wykładu, któremu się przysłuchiwałem, szarpnął mną fizycznie bezwarunkowy imperatyw przypomnienia sobie pamiętnych wydarzeń mojego życia; poczułem potężny nerwowy spazm, który wstrząsnął całym moim ciałem od czubka głowy po palce stóp.

Zabrałem się do pracy na poważnie. Całe miesiące strawiłem na odgrzebywaniu w pamięci przeżyć, które w moim odczuciu miały dla mnie jakieś znaczenie. Kiedy jednak dokładnie przyjrzałem się mojej kolekcji, uzmysłowiłem sobie, że zajmuję się tylko takimi sprawami, które nie posiadają absolutnie żadnej treści. Zdarzenia, o których myślałem, były jedynie niejasno zapamiętanymi, abstrakcyjnymi punktami odniesienia. Raz jeszcze poczułem się niezwykle rozstrojony mrocznym podejrzeniem, że wychowano mnie tak, abym jedynie działał, nie próbując nigdy nawet czegokolwiek poczuć.

Jednym z najbardziej ulotnych wspomnień, które za wszelką cenę chciałem uczynić pamiętnym, był dzień, kiedy dowiedziałem się, że przyjęto mnie na studia magisterskie na Uniwersytecie Kalifornijskim. Pomimo wielkich starań nie mogłem sobie za nic przypomnieć, co tamtego dnia robiłem. Dzień ten nie kojarzył mi się z niczym interesującym czy wyjątkowym – jedynie z myślą, że powinien być dla mnie pamiętny. Z faktem, że dostałem się na uniwersytet, powinno się łączyć zadowolenie albo duma z samego siebie, ale tak nie było.

Innym elementem mojej kolekcji był dzień, w którym omal nie ożeniłem się z Kay Condor. Naprawdę nie nazywała się Condor, ale zmieniła nazwisko, ponieważ chciała być aktorką. Przepustką do sławy miał być fakt, że z twarzy bardzo przypominała Carole Lombard. Dzień ów zapisał się w mojej pamięci nie tyle z powodu tego, co się wówczas wydarzyło, ile dlatego, że Kay była piękna i chciała za mnie wyjść. Była wyższa ode mnie o głowę, co jeszcze bardziej pobudzało moje zainteresowanie jej osobą.

Byłem niezwykle podekscytowany myślą o poślubieniu wysokiej kobiety, i to na dodatek w kościele. Wypożyczyłem na tę okazję szary garnitur. Przy moim wroście spodnie robiły wrażenie zbyt luźnych. Nie były to dzwony, lecz po prostu szerokie spodnie, i to niesamowicie mnie drażniło. Oprócz tego irytowało mnie niezmiernie to, że rękawy różowej koszuli, którą sobie kupiłem na tę okoliczność, były prawie dziesięć centymetrów za długie; żeby je skrócić, musiałem nałożyć na ręce gumowe ściągacze. Poza tym wszystko szło doskonale do momentu, w którym goście i ja sam stwierdziliśmy, że Kay Condor zrejterowała i nie zjawi się w kościele.

Ponieważ była bardzo dobrze wychowaną młodą damą, przesłała mi kartkę z przeprosinami przez posłańca na motocyklu. Napisała, że nie uznaje rozwodów i nie potrafi związać się do końca swoich dni z mężczyzną, który w dużym stopniu nie podziela jej poglądów na życie. Wypomniała mi, że pry cham pogardliwym śmiechem za każdym razem, gdy wypowiadam jej nazwisko, co zdradza całkowity brak szacunku dla jej osoby. Napisała, że omówiła całą sprawę ze swoją matką. Obie bardzo mnie Kochają, ale nie na tyle, bym mógł się stać częścią ich rodziny. Dodała, że wszyscy – mężnie i mądrze – powinniśmy zapomnieć o całej sprawie i żyć dalej.

Odzwierciedleniem stanu mojego umysłu był całkowity paraliż. Kiedy starałem się przywołać wspomnienia tego dnia, nie mogłem sobie przypomnieć, czy czułem się potwornie upokorzony, bo mnie zostawiła i stałem tak sam przed całą masą ludzi w moim szarym, wypożyczonym garniturze z szerokimi



spodniami, czy też byłem zdruzgotany tym, że Kay Condor nie wyszła za mnie.

Były to jedyne dwa wydarzenia, które potrafiłem wyraźnie wydzielić. Były to raczej marne próbki, ale po odpowiedniej aranżacji udało mi się nadać im formę opowieści o filozoficznym pogodzeniu się z losem. Wyobraziłem sobie samego siebie jako istotę, która kroczy przez życie pozbawiona prawdziwych uczuć, oceniająca wszystko jedynie z intelektualnego punktu widzenia. Wzorując się na przerośniętych don Juana, stworzyłem nawet swój własny metaforyczny obraz: istota, która żyje wyobrażeniami na temat tego, jak jej życie powinno wyglądać.

Na przykład byłem przekonany, że dzień, w którym zostałem przyjęty na studia magisterskie na Uniwersytecie Kalifornijskim, powinien być dla mnie dniem pamiętnym. Ponieważ tak nie było, robiłem co mogłem, żeby przydać mu ważności, której absolutnie nie odczuwałem. Podobnie było z dniem, w którym nieomal poślubiłem Kay Condor. Powinien to być dzień miążdżącej klęski, a nie był. Przypominając go sobie, miałem świadomość, że nie zapisał się on w mej pamięci niczym szczególnym, zacząłem więc na siłę wymyślać odczucia, które powinienem był wówczas mieć. Kiedy następnym razem pojechałem odwiedzić don Juana, zaraz po przyjeździe przedstawiłem mu moje dwie próbki.

– To stek bzdur – oświadczył. – Żadna z tych historii się nie nadaje. Odnoszą się wyłącznie do ciebie jako osoby, która myśli, odczuwa, płacze albo nie odczuwa niczego. Pamiętne zdarzenia z albumu szamana to rzeczy, które wytrzymają próbę czasu, ponieważ mimo że nie mają one z nim nic wspólnego, to jednak on w nich tkwi po uszy i zawsze będzie, przez całe życie i może nawet jeszcze dłużej, ale niezupełnie osobiście.

Po wysłuchaniu jego słów poczułem się przybity, ostatecznie pokonany. W owym czasie byłem absolutnie pewny, że don Juan jest zawziętym, starym człowiekiem, który czerpie szczególną przyjemność z robienia ze mnie durnia. Przypominał mi mistrza rzemiosła z odlewni rzeźbiarskiej, gdzie pracowałem w czasach, gdy chodziłem do szkoły artystycznej. Mistrz ów krytykował

wszystkie prace swoich uczniów i wytykał im błędy, żądając wykonania poprawek zgodnie ze swoimi zaleceniami. Uczniowie odwracali się i udawali, że poprawiają swoje prace. Pamiętam promienny uśmiech radości mistrza i jego słowa, gdy pokazywano mu tę samą pracę: „No, teraz to rozumiem!”.

– Nie łam się – powiedział don Juan, wrywając mnie z zamyslenia. – W swoim czasie byłem w podobnym położeniu. Przez długie lata – nie dość że nie wiedziałem, co wybrać, to jeszcze sądziłem, że nie mam żadnych przeżyć, z których mógłbym wybierać. Miałem wrażenie, że nigdy nic mi się nie przydarzyło. Rzecz jasna spotkało mnie wszystko, co tylko może spotkać człowieka, ale moje usilne starania zachowania pewnego wyobrażenia o sobie samym nie pozostawiały mi w ogóle czasu ani ochoty na to, by cokolwiek zauważyć.

– Czy możesz mi powiedzieć konkretnie, don Juanie, co jest nie tak z moimi historiami? Wiem, że są do niczego, ale cała reszta mojego życia jest taka sama.

– Powiem ci coś raz jeszcze – odparł. – Historie z albumu wojownika nie są osobiste. Twoja opowieść o dniu, kiedy dostałeś się na uniwersytet, stawia cię po trochu w centrum wszystkiego. Czujesz, nie czujesz; uzmysławiasz sobie, nie uzmysławiasz sobie. Rozumiesz, o co mi chodzi? Cała ta historia to po prostu ty sam.

– Ale jakże mogłoby być inaczej? – zapytałem.

– W twojej drugiej opowieści niemal dotykasz tego, o co mi chodzi, ale znów obracasz to w coś skrajnie osobistego. Wiem, że mogłeś dodać więcej szczegółów, ale wszystkie one byłyby jedynie przedłużeniem twojej osoby i niczym więcej.

– Naprawdę nie rozumiem, do czego zmierzasz, don Juanie – wyraziłem moje wątpliwości. – Każda historia widziana oczyma świadka jest, siłą rzeczy, osobista.

– Tak, tak, oczywiście – odrzekł z uśmiechem, jak zwykle pysznie ubawiony moją konsternacją. – Ale w takim razie nie jest to historia do albumu wojownika. Jest to historia, która służy czemu innemu. Pamiętne zdarzenia, których my poszukujemy, kryją w sobie mroczny dotyk tego, co bezosobowe. Są nim przeżycone. Nie wiem, jak to inaczej wytłumaczyć.

Wydawało mi się wówczas, że miałem chwilę olśnienia i zrozumiałem, co miał na myśli, mówiąc o mrocznym dotyku tego, co bezosobowe. Sądziłem, że chodzi mu o coś odrobinę makabrycznego. Z tym właśnie kojarzyła mi się mroczność. Opowiedziałem mu więc historię z czasów dzieciństwa.

Jeden z moich starszych kuzynów studiował w szkole medycznej. Robił specjalizację i pewnego dnia zabrał mnie do kostnicy. Zapewnił mnie, że młody człowiek ma niejako obowiązek oglądać martwych ludzi, ponieważ jest to bardzo pouczający widok; ma on demonstrować przemijalność życia. Pouczał mnie bez przerwy, chcąc mnie przekonać, bym poszedł z nim do kostnicy. Im więcej mówił o tym, jak bardzo w obliczu śmierci stajemy się nieważni, tym bardziej byłem zaintrygowany. Nigdy w życiu nie widziałem nieboszczyka. W końcu ciekawość zaważnęła mną całkowicie i zgodziłem się z nim pójść.

Pokazał mi kilka trupów, czym udało mu się śmiertelnie mnie przerazić. Nie dostrzegłem w nich niczego pouczającego ani metafizycznego. Było to coś tak przerażającego, że w życiu jeszcze czegoś takiego nie widziałem. Kiedy kuzyn mówił, co chwila spoglądał na zegarek, jak gdyby czekał na kogoś, kto ma się w każdej chwili zjawić. Zapewne chciał przetrzymać mnie w kostnicy dłużej, niż byłem w stanie wytrzymać. Ponieważ zawsze lubiłem rywalizację, byłem przekonany, że sprawdza moją wytrzymałość, moje męstwo. Zacisnąłem więc zęby i postanowiłem zostać z nim do samiuteńskiego końca.

Samiuteński koniec przeszedł moje najśmielsze wyobrażenia. Nagle jeden z przykrytych prześcieradłem trupów zaczął się ze skrzypieniem unosić na marmurowym stole, zupełnie jakby zamierzał usiąść prosto. Z jego wnętrza wydobyło się beknięcie tak ohydne, że przeszło mnie na wylot i pozostanie w mojej pamięci do końca życia. Mój kuzyn – pan lekarz i naukowiec – wytłumaczył mi, że są to zwłoki człowieka zmarłego na gruźlicę i że jego płuca trawione są przez prątki, które pozostawiają olbrzymie dziury wypełnione powietrzem, i w podobnych przypadkach, przy zmianie temperatury otoczenia, górna część ciała czasami unosi się do pionu, a najczęściej konwulsyjnie podryguje.

– Nie, jeszcze nie trafiłeś – powiedział don Juan, kręcąc głową. – To po prostu opowieść o twoim strachu. Sam byłbym śmiertelnie przerażony. Jednakże podobny strach nie oświecił niczyjej drogi. Ale jestem ciekaw, co było dalej.

– Zacząłem się drzeć, jakbym zobaczył ducha – odparłem. – Mój kuzyn zaś wyzwiał mnie od tchórzki i mięczaków, bo wtuliłem głowę w poły jego kitla i zwymiotowałem na niego.

Najwyraźniej podchwyciłem makabryczne wątki z mojego życia. Przypomniała mi się kolejna historia o szesnastolatku z mojej szkoły średniej, który miał jakieś zaburzenia hormonalne i niesamowicie wyrósł. Jego serce nie rozrastało się w takim samym tempie co reszta ciała, i pewnego dnia chłopak zmarł na zawał. Wiedzeni niezdrawą ciekawością wybraliśmy się z kolegą do domu pogrzebowego. Jego pracownik, który prawdopodobnie sam był bardziej makabryczny niż my dwaj razem wzięci, wpuścił nas przez tylne drzwi do środka. Pokazał nam swoje arcydzieło. Zmieścił owego gigantycznego chłopca, który mierzył ponad dwa metry i trzydzieści centymetrów, w trumnie normalnych rozmiarów, odcinając mu nogi. Pokazał nam staranne ułożenie kończyn, które chłopiec obejmował ramionami niczym dwa trofea.

Przerażenie, które mnie ogarnęło, było porównywalne z tym, którego doświadczyłem w kostnicy jako dziecko, ale tym razem nie była to reakcja fizyczna; była to odraza psychiczna.

– Prawie ci się udało – powiedział don Juan. – Jednak twoja historia ciągle jest zbyt osobista. Jest odrażająca. Rzygać mi się chce, ale wyczuwam tu wielki potencjał.

Śmialiśmy się z horroru, jakim często stają się zwykłe, codzienne sytuacje. Byłem już wówczas beznadziejnie pogrążony w makabrycznych wątkach, które udało mi się uchwycić i wydobyć na światło dzienne. Opowiedziałem więc historię mojego najlepszego przyjaciela, Roya Goldpissa. Tak naprawdę nosił on polskie nazwisko, ale koledzy nazywali go Goldpiss, ponieważ czegokolwiek się tknął, przemieniał to w złoto; Goldpiss był wielkim biznesmenem.

Jego talent handlowy uczynił z niego osobę skrajnie ambitną. Chciał zostać najbogatszym człowiekiem na świecie. Stwierdził

jednak, że konkurencja jest zbyt twarda. Powiadał, że jako indywidualny biznesmen nie ma najmniejszych szans rywalizować, na przykład ze zwierzchnikiem pewnej sekty islamskiej, który w owym czasie otrzymywał roczne wynagrodzenie w złocie o wadze równej wadze jego ciała. Przed każdym ważeniem zwierzchnik rzeczonyj sekty tuczył się do granic możliwości.

Wobec tego mój przyjaciel Roy zawęził perspektywę i zdecydował się zostać najbogatszym człowiekiem w Stanach Zjednoczonych. Konkurencja w tym sektorze była niesłychanie zażarta. Roy obniżył poprzeczkę: być może uda mu się zostać najbogatszym człowiekiem w Kalifornii. Ale i tutaj był już spóźniony. Porzucił nadzieję, by ze swymi sieciami pizzerii i łodziami dał radę zejść na tyle wysoko w świecie biznesu, by móc konkurować z rodzinami, które od pokoleń miały Kalifornię na własność. Zadowolił się więc dążeniem do tego, by być najbogatszym człowiekiem w Woodland Hills, dzielnicy Los Angeles, w której mieszkał. Na nieszczęście dla niego na tej samej ulicy mieszkał pan Marsh, właściciel licznych zakładów produkujących najwyższej klasy materace łóżkowe w całych Stanach Zjednoczonych; i był on niewyobrażalnie bogatym człowiekiem. Frustracja Roya przeszła ludzkie pojęcie. Jego pęd do sukcesu był tak ogromny, że w końcu podupał na zdrowiu. Pewnego dnia zmarł z powodu tętniaka w mózgu.

Jego śmierć stała się przyczyną mojej trzeciej wizyty w kostnicy. Żona Roya błagała mnie, abym jako jego najlepszy przyjaciel poszedł sprawdzić, czy ciało zostało odpowiednio ubrane. Udałem się do zakładu pogrzebowego, gdzie pracownik biura poprowadził mnie do pomieszczenia, w którym przygotowywano zwłoki do pogrzebu. Dokładnie w chwili, gdy tam wkroczyłem, pracownik stojący przy wysokim stole z marmurową płytą trzymał się nad wypchnięciem do góry kącików ust nieboszczyka, który osiągnął już stan stężenia pośmiertnego, naciskając wskazującym i małym palcem prawej dłoni, ze środkowym palcem podgiętym do wnętrza dłoni. Kiedy na martwej twarzy Roya pojawił się groteskowy uśmiech, pracownik obrócił się nieznacznie w moją stronę i odezwał się służalczo: „Mam nadzieję, że łaskawy pan jest zadowolony”.

Żona Roya – nigdy się nie dowiem, czy go lubiła, czy nie – postanowiła go pochować tak wystawnie, jak jej zdaniem na to zasługiwał. Kupiła niezwykle drogą trumnę, cacko na zamówienie, które przypominało wyglądem budkę telefoniczną; pomysł zaczerpnięła z jakiegoś filmu. Roy miał zostać pochowany w pozycji siedzącej, jak gdyby właśnie telefonował do kogoś w interesach.

Nie zostałem na pogrzebie. Oddaliłem się ogarnięty niezwykle gwałtownym uczuciem, mieszaniną niemocy i gniewu, gniewu takiego, jakiego nie da się na nikim wyładować.

– Nie ma co, masz dzisiaj makabryczny nastrój – podsumował don Juan ze śmiechem. – Ale pomimo to – a może właśnie dlatego – prawie ci się udało. Zaczynasz dotykać sedna.

Nigdy nie mogłem się nadziwić, jakim zmianom podlegał mój nastrój za każdym razem, gdy byłem w odwiedzinach u don Juana. Zawsze przyjeżdżałem do niego grymaśny, zrzędlivy, zadufany w sobie i pełen wątpliwości. Po chwili mój humor ulegał tajemniczej metamorfozie i stopniowo stawałem się bardziej wylewny, aż osiągałem stan nieznanego mi wcześniej spokoju. Charakterystyczny dla mnie sposób mówienia pozwalał jednak uzewnętrznić się temu stanowi ducha. Zwyczajowo mówiłem jak osoba dogłębnie niezadowolona, która powstrzymuje się od głośnego narzekania, ale jej niekończące się skargi przebijają w każdej wypowiedzi.

– Czy możesz podać mi przykład pamiętnego wydarzenia z twojego albumu, don Juanie? – spytałem moim zwyczajowym tonem źle maskowanej skargi. – Gdybym znał schemat, o który ci chodzi, może wówczas mógłbym na coś wpaść. Inaczej jest to porywanie się z motyką na słońce.

– Nie tłumacz się za dużo – odrzekł don Juan, rzucając mi surowe spojrzenie. – Czarownicy powiadają, że w każdym tłumaczeniu zawierają się ukryte przeprosiny. Kiedy się więc usprawiedliwiasz, dlaczego nie możesz zrobić tego czy tamtego, tak naprawdę przepraszasz za swoje braki, w nadziei, że osoba, która cię słucha, będzie łaskawa je zrozumieć.

Moim ulubionym wybiegiem, do którego uciekałem się zawsze, gdy ktoś mnie atakował, było ostudzenie zapędów napast-

nika poprzez jego ignorowanie. Don Juan miał jednak wstrętą zdolność całkowitego absorbowania mojej uwagi. Bez względu na to, jak bardzo mnie atakował, bez względu na to, co powiedział, zawsze udawało mu się przykuć moją uwagę do każdego swojego słowa. Tamtego razu to, co mówił na mój temat, wcale mnie nie zachwycało, ponieważ była to szczerza prawda.

Unikałem jego spojrzenia. Jak zwykle czułem się pokonany, choć tym razem była to porażka osobliwa. Wcale mnie nie obeszła, choć gdyby zdarzyła się w moim powszednim życiu czy zaraz po przyjeździe do domu don Juana, byłoby inaczej.

Po długiej chwili milczenia don Juan znów się do mnie odezwał.

– Mam lepszy pomysł niż podanie ci przykładu pamiętnego wydarzenia z mojego albumu – powiedział. – Podam ci przykład z twojego życia, taki, który bez dwóch zdań powinien się znaleźć w twojej kolekcji. Albo inaczej: gdybym był tobą, bez wątpienia zamieściłbym je w moim zbiorze pamiętnych wydarzeń z mojego życia.

Pomyślałem sobie, że don Juan żartuje, i zaśmiałem się głupio.

– Nie ma tu nic do śmiechu – rzucił ostro. – Mówię poważnie. Raz opowiedziałeś mi historię, która spełnia wszelkie kryteria.

– Co to była za historia, don Juanie?

– Historia o „figurach przed lustrem” – odrzekł. – Opowiedz mi tę historię raz jeszcze. Ale opowiedz mi ją ze wszystkimi szczegółami, które zapamiętałeś.

Zacząłem powierzchownie relacjonować moją historię. Przerwał mi i zażyczył sobie przemyślanej, drobiazgowej narracji, od samego początku. Spróbowałem raz jeszcze, ale moje kolejne podejście również go nie zadowoliło.

– Chodźmy się przejść – zaproponował. – Kiedy chodzisz, jesteś o wiele dokładniejszy niż wtedy, gdy siedzisz. To wcale nie wymysł, że człowiek powinien chodzić w tę i z powrotem, kiedy chce coś zrelacjonować.

Siedzieliśmy wówczas, jak to mieliśmy w zwyczaju podczas dnia, pod jego ramadą. Miałem już swój schemat: zawsze zajmowałem to samo miejsce, zwracając się plecami do ściany. Don

Juan siadywał pod swoją ramadą różnie, ale nigdy na tym samym miejscu.

Wyruszyliśmy o najgorszej porze dnia, w południe. Don Juan miał nade mną przewagę, dysponując starym słomianym kapeluszem, który zawsze nakładał na głowę, ilekroć wychodził na ostre słońce. Szliśmy długi czas w kompletnej ciszy. Robiłem wszystko co mogłem, żeby się zmusić do przypomnienia sobie wszystkich szczegółów tamtej historii. Po kilku godzinach usiedliśmy w cieniu wysokich krzewów i raz jeszcze opowiedziałem całą historię.

Kiedy studiowałem rzeźbę w akademii sztuk pięknych we Włoszech, wiele lat wcześniej, miałem bliskiego przyjaciela, Szkota, który studiował sztuki, gdyż chciał zostać krytykiem artystycznym. Tym, co najżywiej utkuło mi w pamięci w związku z nim i co miało związek z historią, którą opowiadałem don Juanowi, była jego bombastyczna wizja własnej osoby: uważał siebie za niezwykle rozpustnego, jurnego, wszechstronnego uczonego i artystę. Rozpustny to on był, ale jurność pozostawała w całkowitej sprzeczności z jego kościstym, suchym, poważnym wyglądem. W swych wyobrażeniach wiernie podążał za koncepcjami angielskiego filozofa Bertranda Russella i marzył o zastosowaniu zasad pozytywizmu logicznego w krytyce artystycznej. Idea zostania wszechstronnym uczoneym i artystą była prawdopodobnie najśmielszą z jego fantazji, gdyż miał on w zwyczaju zwlekać ze wszystkim do ostatniej chwili; praca była jego nemezis.

Jego – moralnie niejednoznaczna – specjalnością była nie krytyka artystyczna, lecz rozeznanie we wszystkich lokalnych burdelach, a było ich mnóstwo. Barwne i rozwlekłe relacje, którymi mnie raczył – abym, jak to mówił, był na bieżąco ze wszystkimi cudami, których dokonał na tym polu – były kapitalne. Nie zdziwiło mnie więc wcale, gdy pewnego dnia wpadł do mojego mieszkania niezwykle podekscytowany, niemal bez tchu, i powiedział mi, że przydarzyła mu się rzecz niezwykła i chce się nią ze mną podzielić.

– Powiadam ci, stary, musisz to zobaczyć na własne oczy!  
– rzucił rozemcjonowany, z afektowanym akcentem oksfordz-



kim, którego zawsze używał, gdy ze mną rozmawiał. Nerwowo przechadzał się po pokoju. – Trudno to opisać, ale wiem, że jest to coś, co ty potrafiłbyś docenić. Coś, czego obraz zachowasz w pamięci na całe życie. Zamierzam dać ci na zawsze coś cudownego. Rozumiesz mnie?

Rozumiałem tyle, że jest rozhisteryzowanym Szkotem. Zawsze z przyjemnością ulegałem jego nastrojom i pozwalałem mu się zabierać ze sobą. Nigdy tego nie żałowałem.

– Spokojnie, Eddie, spokojnie – odparłem. – O co chodzi?

Opowiedział mi, że był w pewnym burdelu, gdzie znalazł niewiarygodną kobietę, która wykonywała niesamowity numer, nazywany przez nią „figurami przed lustrem”. Wielokrotnie, niemal jękając się, przekonywał mnie, że koniecznie muszę być świadkiem tego niewiarygodnego wydarzenia.

– Nie przejmuj się pieniędzmi! – powiedział, gdyż wiedział, że ich nie mam. – Już zapłaciłem. Musisz teraz tylko pójść ze mną. Madame Ludmiła pokaże ci swoje „figury przed lustrem”. Bomba!

W napadzie niekontrolowanej radości Eddie zaczął się śmiać na całe gardło, nie zważając na swoje zepsute zęby, które normalnie, gdy się uśmiechał czy śmiał, ukrywał za ciasno ściśniętymi wargami.

– Mówię ci, to absolutna rewelacja!

Moja ciekawość rosła z każdą chwilą. Niemal rwałem się do tego, by zakosztować jego nowej rozkoszy. Eddie wywiózł mnie na przedmieście. Zatrzymaliśmy się przed przybrudzonym, zaniedbanym budynkiem; na ścianach łuszczyły się płaty farby. Budynek starał się sprawiać wrażenie, że niegdyś mieścił się w nim hotel, który później przekształcono w budynek mieszkalny. Dostrzegłem resztki szyldu hotelu, który wyglądał tak, jakby go rozerwano na drobne części. Od frontu budynek miał kilka rzędów brudnych, pojedynczych balkonów wypełnionych donicami z kwiatami albo przybranych schnącymi dywanami.

Przy wejściu stało dwóch ciemnych, podejrzanie wyglądających mężczyzn; na nogach mieli czarne buty ze szpicem, które sprawiały wrażenie za małych na ich stopy. Powitali Eddiego

z przesadną wylewnością. Mieli czarne, chytre, złowrogie oczy. Obaj nosili błyszczące jasnoniebieskie garnitury, również zbyt ciasne na ich przysadziste tułowia. Jeden z mężczyzn otworzył Eddiemu drzwi. Na mnie nawet nie spojrzeli.

Weszliśmy do góry, na piętro zrujnowaną klatką schodową, która w swoim czasie musiała być luksusowo urządzone. Eddie poprowadził mnie przez długi, pusty korytarz z drzwiami pokoiów po obu stronach, jak w hotelu. Wszystkie pomalowane były taką samą mdłą, ciemnooliwkową farbą, na wszystkich widniał mo siężny numer, zmatowiały ze starości i ledwo widoczny na tle ciemno pomalowanego drewna.

Przy jednych z drzwi Eddie się zatrzymał. Na drzwiach dostrzegłem numer 112. Eddie zapukał kilka razy. Drzwi się otworzyły i pulchna, niska kobieta z rozjaśnionymi na blond włosami skinęła na nas, abyśmy weszli, nie odzywając się słowem. Miała na sobie podomkę z czerwonego jedwabiu, z pierzastymi, falbaniastymi rękawami, a na nogach czerwone kapcie z puszystymi pomponami. Kiedy już weszliśmy do małego holu, kobieta zamknęła za nami drzwi i powitała Eddiego okropnie kaleczoną angielszczyzną.

– Witaj, Eddie. Przyszedłeś z przyjacielem, co?

Eddie ujął jej dłoń i z galanterią pocałował. Jego zachowanie nosiło pozory doskonałego opanowania, ja jednak dostrzegłem jego nieświadome gesty zdradzające, że czuje się nieswojo.

– Jak się pani dziś miewa, Madame Ludmiło? – rzekł, bez powodzenia starając się naśladować amerykański akcent.

Nigdy nie doszedłem do tego, dlaczego Eddie usiłował naśladować amerykański akcent za każdym razem, gdy odwiedzał swoje ulubione domy rozpusty. Podejrzywałem, że robi to dlatego, że Amerykanie znani byli ze swej zamożności, a on chciał zyskać w ich oczach renomę człowieka bogatego.

Eddie obrócił się w moją stronę i rzekł ze swym nieudolnym amerykańskim akcentem:

– No, młody, zostawiam cię w dobrych rękach.

Zabrzmiało to tak okropnie, tak obco w moich uszach, że roześmiałem się w głos. Madame Ludmiło mój wybuch wesołości

jakby w ogóle nie obszedł. Eddie raz jeszcze ucałował jej dłoń i wyszedł.

– Mówisz po angielsku, mój mały? – spytała, krzycząc, jakbym był głuchy. – Wyglądasz jak Egipczyk albo jak Turki.

Zapewniłem Madame Ludmiłę, że nie jestem ani jednym, ani drugim i że mówię po angielsku. Zapytała mnie wówczas, czy rajcują mnie jej „figury przed lustrem”. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Pokiwałem jedynie potakująco głową.

– Dostaniesz dobry show – rzekła z pewnością w głosie. – Figury przed lustrem to tylko rozgrzewka. Gdy będziesz napalony i gotowy, mów, że dosyć.

Z małego holu przeszliśmy do mrocznego i nieco straszego pokoju. Okna były szczelnie zasłonięte ciężkimi storami. W oprawkach przymocowanych do ścian paliło się kilka słabych żarówek. Żarówki miały cylindryczny kształt i odstawały od ścian pod kątem prostym. Pokój wypełniało mnóstwo różnych mebli: małe komody, antyczne stoły i krzesła, ustawiony pod ścianą sekretarzyk z piętrzącymi się nań stosami papierów, mnóstwem ołówek, linijek i przynajmniej kilkunastoma parami nożyczek. Madame Ludmiła posadziła mnie na starym, obitym krześle.

– Łóżko jest w drugim pokoju, kochanie – powiedziała, wskazując drugą stronę pokoju. – To jest moja antisala. Tutaj pokażę ci show, żebyś się napalił i był gotowy.

Zrzuciła z ramion swoją czerwoną podomkę, strząsnęła ze stóp kaptcie i otworzyła podwójne drzwi dwóch dużych szaf ustawionych obok siebie pod ścianą. Całą wewnętrzną stronę każdego skrzydła zajmowało wielkie lustro.

– A teraz muzyka, mój mały – rzekła Madame Ludmiła, po czym zakręciła korbką starej Victrolii, która wyglądała na zupełnie nieużywaną i błyszczała jak nowa. Nastawiła płytę. Muzyką okazała się niezwykle poruszająca melodia, która kojarzyła mi się z marszem cyrkowym.

– A teraz mój show – powiedziała i zaczęła wirować w takt melancholijnej melodii. Skóra niemal całego ciała Madame Ludmiły była jędrna i niezwykle biała, chociaż nie była ona osobą młodą. Musiała mieć dobrze pod pięćdziesiątkę i było

widać, że używała życia. Brzuch miała nieco obwisły, niezbyt mocno, ale wyraźnie, podobnie jak olbrzymie piersi, a skórę na policzkach wyraźnie sflaczała. Miała mały nos i mocno wymalowane czerwienią usta. Na rzęsach miała grubą warstwę tuszu. Przywodziła mi na myśl typową, starzejącą się prostytutkę. Mimo to miała w sobie coś dzieciennego, dziewczęcą, nieskrępowaną swobodę i ufność, słodycz, która poruszyła mnie do głębi.

– A teraz figury przed lustrem – zapowiedziała Madame Ludmiła. Muzyka ciągle grała.

– Noga, noga, noga! – rzekła, wyrzucając wysoko w górę jedną nogę, a potem drugą, w rytm melodii. Prawą dłoń położyła sobie na głowie, przypominając dziewczynkę, która nie jest pewna, czy może się poruszać w ten sposób.

– Obrót, obrót, obrót! – powiedziała, obracając się jak bąk.

– Pupa, pupa, pupa! – powiedziała dalej, pokazując mi nagie pośladki jak w kankanie.

Powtarzała tę sekwencję bez ustanku, aż muzyka zaczęła cichnąć, gdy rozkręciła się sprężyna patefonu. Miałem wrażenie, że wraz z cichnięciem melodii Madame Ludmiła, wirując, znika w oddali, coraz to mniejsza i mniejsza. Z najbardziej ukrytych głębin mojej istoty podniosło się poczucie nieokreślonej rozpacz i samotności, z której istnienia nawet nie zdawałem sobie sprawy, i wyrzuciło mnie z krzesła, wypchnęło z pokoju, nagłąc do szaleńczego biegu w dół po schodach, na zewnątrz, na ulicę.

Eddie stał pod drzwiami i rozmawiał z dwoma mężczyznami w jasnoniebieskich, błyszczących garniturach. Widząc mój szaleńczy bieg, zaczął się śmiać na całe gardło.

– No i co, bomba, nie? – spytał, nadal siląc się na amerykański akcent. – „Figury przed lustrem to tylko rozgrzewka”. Coś wspaniałego! Coś wspaniałego!

Gdy wspomniałem o tym wydarzeniu don Juanowi po raz pierwszy, powiedziałem mu, że głęboko poruszyła mnie ta niedająca spokoju muzyka i stara prostytutka, niezdarnie wirująca w rytm melodii. Byłem też wstrząśnięty odkryciem, jak niesamowicie bezduszny jest mój przyjaciel.

Kiedy teraz skończyłem po raz drugi opowiadać moją historię don Juanowi, gdy tak siedzieliśmy wśród wzgórz na tle szczytów Sonory, czułem, że się trzęsę, poruszony tajemniczym dotykem czegoś zupełnie nieokreślonego.

– Ta historia – odezwał się don Juan – powinna się znaleźć w twoim albumie pamiętnych wydarzeń życia. Twój przyjaciel, nie mając bladego pojęcia o tym, co robi, dał ci – jak sam powiedział – coś, co pozostanie z tobą na zawsze.

– Dla mnie jest to jedynie smutna opowieść, don Juanie, i to wszystko – stwierdziłem.

– To rzeczywiście smutna opowieść, podobnie jak wszystkie pozostałe – odrzekł – ale tym, co odróżnia ją od innych i nie pozwala mi o niej zapomnieć, jest fakt, że dotyczy każdego z nas, każdego człowieka, a nie tylko ciebie, tak jak w pozostałych historiach. Bo widzisz, podobnie jak Madame Ludmiła, każdy z nas, stary i młody, robi figury przed lustrem – w taki czy inny sposób. Porównaj to sobie z tym, co wiesz o ludziach. Pomyśl sobie o dowolnej istocie na tej Ziemi, a przekonasz się, bez cienia wątpliwości, że bez względu na to, kim są, co myślą na swój temat albo co robią, ich działania zawsze sprowadzają się do tego samego: bezsensownych figur przed lustrem.